

CZARNO NA BIAŁYM

Nr 1  29 marca 2005

Biblioteka Szkolna  I LO w Jaśle

Uwielbiam to zestawienie. Biała kartka papieru, czarny druk. Fotografia czarno-biała wraca do łask, zachwyca, wydobywa zapomniane odcienie bieli i czerni. Rozłożona szachownica, pepitka od Coco Chanel, filmy Charliego Chaplina itd. Pozostańmy jednak przy druku, a w zasadzie przy książkach, bo one i ich świat to powód, dla którego wydajemy dziś pierwszy numer biuletynu biblioteki szkolnej I LO w Jaśle „Czarno na Białym”

Czytanie to rodzaj pożądania, tęsknoty, uzależnienia. Bez druku nie smakuje posiłek, świat wydaje się mniejszy, pusty, bezbarwny, czas bezpowrotnie stracony. Semantyka i brzmienie, zabawa i wiedza, manipulacja, władza i perswazja gotują się w tyglu literatury. To musi fascynować! Zjawiska: czytania, tworzenia, pisania, które według prognoz i statystyk powinny ulec zapomnieniu i zaniechaniu inspirują, interesują, przyciągają wielu z nas. W „Czarno na Białym” chcemy zaprosić na małe, twórcze co nieco, zaproponować w menu literaturę polską, obcą i tutejszą.

Zapraszam do biblioteki i do lektury! *ElaSzaro*

Poszepty prowincjonalne

Nagły powrót Helki do wsi nie mógł przejść bez echa. Po zimowych, długich i mroźnych dniach, kiedy szybko przemierzało się drogę z domu do stajni i z powrotem, nagle nastąpiła odwilż. Wtedy przyjechała Helka. Nie, nie sama. Towarzyszył jej nie tylko mąż, ale i gromadka dzieci. I nawet ten fakt przemilczeć by można, gdyby nie to, że mąż był prawdziwym Grekiem, śniadym i choć trochę łysiejącym, to całkiem, całkiem do rzeczy. Patrzył niepewnie tymi czarnymi jak węgiel oczami, bo tyle nowości – od nieznannej teściowej zaczynając, a na licznych szwagrach i szwagierkach skończywszy.

Szot, niby teść, w młodości swojej był jurny i nie próżnował, dalibóg nie próżnował. Porywczosć jego natury była znana we wsi. Miał szczęście Grek, że Szot dokonał już swego żywota, bo gdyby takiego zięcia, ciemnego na pysku, zobaczył, to niech ręka boska broni! Oj, wściekłyby się ani chybi! Każdy wie, że wódka z rozumu obierała niejednego, a Szot wyjątkiem nie był. No, ale Józczysko już na górce, pod sośniną odpoczywa, a Grek żywy, niebrzydki, ciekawie rozglądał się po nowym obejściu. Dzieci jak to dzieci. Rozmaite, wiadomo. A wszystkie czarne, smoliste, jak opalone. Tylko po polsku ani me ani be. Grek, znaczy mąż Heli, też jak analfabeta, ale to Szotkę akurat najmniej obchodziło. Jednak z wnukami człowiek chciałby pogadać.

Hela nie ta co kiedyś. Chuda i – jak to Szotka powiedziała –udręczona przez życie, z m a r n o w a n a. Jakby nie było, czworo drobiazgu, a najmłodsze jeszcze cycka uczepione.

-- Siedź u matki, dobrze ci będzie – powtarzała Szotka.

I faktycznie dobrze się zapowiadało. Dwójka starszych dzieci poszła do szkoły, mowę polską szybko przyswoiwszy. Dzieciaki goniły po polach, sąsiedowe psy drażniły, aż miło było patrzeć jak wsiąkają w lokalne klimaty. Ale Grek dusił się. Miotał. Przeklinał. W końcu zdecydował. Wracają do Grecji. Koniec i kropka. On tu nie będzie. Zimno, buro, byle jak. Bez pracy. A język – niewyuczalny. Pakować się. Szotka nic z tego nie wiedziała. Ale słowa słowami, a serce matki przeczuje najgorsze.

--Stara jestem – mówiła Helce – ale jeszcze pomogę. Na litość boską, żebyś nie zgłupiała.

Nie wiadomo, co Hela podżyła ze swoim dzikim Grekiem, ale pewno miódów nie było. No i zbuntowała się. Nigdzie nie pojedzie.

Dopiero się działo! Policja, tłumacz prosto z Warszawy, rozmowy, groźby. Spakowane walizki Greka stały na schodach. Każdy mógł je zobaczyć. Ceratowe musiały być, bo takim blaskiem błyszczały w wiosennym słońcu.

Grek się pienił. Hela milczała. I nic nie zrobił ten twardziel z Grecji gorącej. Ślubu między nimi nijakiego nie było, ot i tyle. Tak się bronił przed tymi kajdanami, a teraz los zadzwilił z niego okrutnie. I pojechał do Krakowa, do Warszawy nawet. I paplał po swojemu, a Hela oddychała z ulgą, że pozbyła się faceta, z którym od lat sypiała i którego miała już dość. Wystarczyły jej ładne dzieci i spokój matczynej kuchni, zapach pieczonego chleba, o którym już zapomniała. A teraz przywracał ją jak po długim śnie we właściwe miejsce. *Sokół*



Widziane z Krakowa

Kuczok Wojciech: *"Widmokrąg"*

Dużo dosłowności, rzeczywistości, mało cukierkowości. Ciekawe historie opowiedziane szybko, czasami tak szybko, że nie kontrolujemy, czy nie porzuciliśmy naszej zwykłej rzeczywistości.

Coetzee John M. : *„Czekając na barbarzyńców”*

Przerażające studium wyodrębnienia się z grupy społecznej (również przerażającej) kozła ofiarnego. Kto jest barbarzyńcą? Okazuje się, że odpowiedź jest tylko pozornie łatwa. W barbarzyńskiej rzeczywistości nawet miłość musi szukać ucieczki.....

Martel Yann: *„Życie Pi”*

Był sobie chłopiec, który szukał swojego miejsca. I była katastrofa morska. A potem dryfowanie w szalupie wobec żywiołów wody, własnej słabości fizycznej i psychicznej i tygrysa. Skąd ten tygrys?! Trzeba przeczytać.

Marquez Gabriel Garcia: *„Miłość w czasach zarazy”*

To książka o miłości, jej sile i potędze. Daj się ponieść tej prozie, która rozlewa się jak płynne złoto....



Sławek Shuty. Prorok antykonsumpcjonizmu.

Kilka, może kilkanaście miesięcy temu usłyszałam o Sławku Shuty – jako, że IV rok studiów (trochę lżejszy) pozwolił na głębsze zainteresowanie tym, co we współczesnej literaturze „piszczy”.

O Sławku akurat dlatego, iż głośno ostatnio w Krakowie i o cyrku Shuty, i o Korporacji Ha!art, która wprowadziła się na antresolę w Bunkrze Sztuki, i o nowej Łażni (pub, klub, knajpa – jak zwał tak zwał), i przede wszystkim o jego nowej powieści pt. „Zwał”.

Mój stosunek do literatury ostatnio lansowanej jest dość ambiwalentny, chyba po prostu nie do końca do mnie przemawia. Uważam na przykład, że Wojciech Kuczok daleko lepiej sprawdził się na poziomie scenariusza filmowego, niż powieści, ale to moja niewiele znacząca subiekcja, bo nagroda Nike w końcu o czymś świadczy...

A „Zwał”? no cóż, cenię Sławka za ideę antykonsumpcjonizmu, ale język jego powieści... Rozumiem „spontaniczne wykrzyknienia”, o których pisał Stomma, ale żeby na każdej stronie, czy nawet w co trzecim zdaniu musiały widnieć „paskudztwa językowe” – jak dla mnie - niekoniecznie. Eufemizmy stosować należy.

Wojciech Rusinek, o wcześniejszej powieści Sławka pt. „Bełkot” napisał: „Shuty opisując zastaną rzeczywistość, zwraca się przeciwko niej w sposób najbardziej perfidny, ale i najskuteczniejszy, tzn. wykorzystując jej własny język”.

Trudno się nie zgodzić, że uwagę poczynił Rusinek trafną, jednak gdyby zredukować o połowę wulgaryzmy nie straciłaby ta proza celności, a o ile przyjemniej by się z nią obcować.

Powieść ma charakter dziennika, którego autorem jest główny bohater – Mirek. Umęczony otaczającą rzeczywistością, pracą w banku, wyścigiem szczurów i wszechobecnym konsumpcjonizmem. Shuty dokonuje w „Zwale” bardzo trafnej demistyfikacji systemu i kultury, czy raczej rozrywki masowej; żyjemy w: „Multipleksie karykaturalnych doznań”.

Mirek z jednej strony stoi z boku, patrząc z ironią, z drugiej jednak jest członkiem tej społeczności i poniekąd akceptuje reguły w niej rządzące, ale czy do końca akceptuje? I tutaj pojawia się finał... *E.K*

Od red: Shuty niedawno był w Jaśle (spotkanie w MBP , luty 2005), już jako „uznany” laureat Paszportu Polityki z dziedziny literatury na rok 2005.

"tchnienie"

wybacz, że ona odeszła
nie mogłam nic zrobić
będziesz żył inaczej
od tej pory
ale żył będziesz

wybacz, że cię zraniła
ona tylko słuchała serca

radzę ci zrobić to samo
od tej chwili
i ty słuchaj serca

głupia, gdzież jej rozum
to on jest siedliskiem uczuć
nie ta workowata kołatka
w lewej części ciała
ty też to wiesz

dlatego wybacz
ona już nie wróci
słuchaj rozumu i żyj
z miłością czy bez
zostało ci jeszcze tchnienie

a ona nie wróci

Gina

